Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Środa 7 Lutego | Nr 35. | 1838 Roku.

POBYT W KIJOWIE NA KONTRAKTACH I POWRÓT DO DOMU.

Kilka tygodni bawiłem w Kijowie na kontraktach. Jakie kontrakta te były wszystkim dobrze wiadomo. Cena dóbr znacznie się podniosła. Same miasto, w którém od trzech lat niebyłem, ledwie daje się poznać: tyle stanęło nowych gmachów. Ożywiony handel, wzorowa czystość i porządek, prócz innych ważniéjszych środków, ze wszech stron ściągają tam podróżnych i miészkańców. Sama ciekawość zatrzymała mnie w Kijowie parę tygodni, aczkolwiek niémiałem wielkiéj potrzeby tam bawić: z największą bowiém łatwością podniosłem kapitał posagowy mojéj żony, który ledwo ulokować mogłem na 5% procentu.

W wolnych od zabaw chwilach trudniłem się też komissami mojéj żony; ta bowiém, dała mi przy odjeździe długi rejestr sprawunków, na wyprawę naszéj Józi, przeznaczywszy na to 2,000 r. srébr. uzbiéranych za płutna, mak, fasolę, grzyby, orzechy, drób i t. d., oraz przeszłoroczny procent summy posagowéj, blizko drugie tyle wynoszący. Po licznych i ogromnych magazynach wybrałem droższe futra; pozamawiałem znaczną liczbę kosztownych fraszek u jubilerów; wszędzie dałem zadatki, i z niecierpliwością oczekiwałem ukończenia moich sprawunków, które wynosiły do 16,000 r. ass. Tymczasem, mając liczne znajomości, trawiłem czas mile i przyjemnie, wszędzie uprzéjmie zapraszany i dobrze przyjmowany. Szczególniéj lubiłem się przypatrywać ogromnym grom, którémi, po niektórych domach, cichaczem się zajmowano. Najgłówniéjszą z nich był Djabełek, ale tak wysoki, że jednego wieczora za

wygranę lub przegranę można było kupować, lub tracić wioski. Długo byłem prostym tylko widzem, i pomimo najczulszych prośb, do gry siadać niechciałem. Jednakże, jednego wieczora, kiedy szampan obficie roznoszony zaczął rozpościérać władzę swoję i w mojéj głowie, zabrałem miéjsce u stolika i znaturalizowałem się do gry. Ale prowadziłem się z taką ostróżnością i z takiém szczęściem, że wstając miałem 1,600 rubli i 250 czerw. złotych wygranych.

Piéniądze te przeznaczyłem sobie w myśli na kupno zapinki brylantowéj dla Józi. Ukontentowanie spać mi niedało; poznałem od razu całą szlachetność i cały pociąg do téj gry tak miłéj, i uczułem niezwyciężoną chętkę zyskania jeszcze więcéj, dla pomnożenia liczby kamiéni. Wyrzucałem mocno wynalazcom téj pięknéj i zyskownéj zabawy, że nadali jéj piekielne nazwisko, i przebiégałem w myśli mnóstwo innych, jakiémiby ją uszlachetnić można było.

Mając głowę témi rachuby nabitą, doczekawszy się niecierpliwie wieczóra, ruszyłem do znajomych, pełen najlepszych nadziei zwiększenia Juzinéj wyprawy, zabrawszy z sobą około 15,000 r. ass. i 250 dukatów. Zastałem już przyjaciół grających i spełniających rzęsiste kielichy. Niechcąc być odludkiem, musiałem także spełnić zdrowie gospodarza, przyjaźni i t. d. zgoła więcéj pięciu dorodnych lampeczek. Serce moje ożywiło się niezwykłą wesołością i najlepszą powzięło otuchę. Usiadłszy przy stoliku zacząłem losować: czerwona wygram, czarna przegram i Dama Karowa trzy razy mi się wyjęła! Ubezpieczony przepowiednią niezawodnego szczęścia, gdy na mnie przyszła koléj, śmiało dobyłem pugilares. W puli było 8,000 rubli i 200 czerw. złotych. Nieprzyjaciel rodu ludzkiego, snadź ojciec tego Djabełka, podniecił mnie iż oświadczyłem się na całą pulę. As trefowy padł dla Djabła, Dama Karowa dla przeciwnika, a dla mnie trefowa trójka. Przejęty niewytłumaczoném jakiémś zimnem, niechciałem daléj ciągnąć. Ale kompanija zachęciła mnie powszechnym okrzykiem: »Daléj! karty zaszły, cofać się nie wolno!« Rzuciłem nową kartę..... Była

to Dama, niepamiętam już jaka.... Krew uderzyła mi do głowy; wszystkie nerwy konwulsyjny stan poczuły; upuściłem machinalnie karty, które zebrał po mnie następujący, a zapłaciwszy do puli przegranę postanowiłem niezwłocznie rewanżować. Cierpliwość moja wystawioną tymczasem była na najsroższą próbę; czekałem kolei jak spragniony pijak pożądanego kieliszka. i wreszcie kolej, ta, po śmiertelnéj zwłoce, przyszła. Postawiłem znowu do puli ostatek piéniędzy; ale i tą razą los mnie zdradził; przegrałem; przegrałem co do grosza wszystko; lecz nieprzyjąłem ofiarowanego mi do dalszéj gry kredytu.

Niémając najmniéjszego funduszu na opłacenie zakupionych towarów i zamówionych na wyprawę Józi robót, ani grosza nawet na wykupienie się z kwatery, wsiadłem do kolaski, która zwolna potoczyła się, wioząc w sobie do miészkania tysiące burzliwych pomysłów, które naprzemian mną miotały. Zdradziecka Karowa Dama niémogła wyjść mi z myśli, jak pewność popełnionego występku z piersi zbrodniarza. Klałem i Djabełka i wszystkich jego wynalazców i patronów, i wtedy dopiéro przekonałem się iż sprawiedliwe nosi nazwisko. Aczkolwiek poźno się położyłem, noc wydała mi się wiekiem, i zaledwie dzień oświécać począł moję kwaterę, wyruszyłem na miasto dla szukania znajomych, coby mnie w nieszczęściu poratować mogli. Ale jednych już od dni kilku w Kijowie niebyło, inni zaś wszyscy tak interesa swoje pokończyli że niémogli mnie wesprzéć najmniéjszą nawet summą. Udałem się więc do ostatniego środka: do prawowiernych synów izraela. Ci, aczkolwiek byli na wsiadaném, spiesznie stawili się na zawołanie. Wielu z nich było mi osobiście znajomych, z miasteczek blizkich mojego majątku, i dla tego chętnie ofiarowali się z pomocą. Żądałem 4,000 r. srébrnych. Targi nasze trwały dzień cały. Podawano mi warunki jedne od drugich summienniéjsze i uczciwsze, i nakoniec stanęło na tém, iż dali mi 4,000 r. z odtrąceniem za trzy miesiące procentu z góry, po 4% na miesiąc, i z dodatkiem jakiéjś gratyfikacyi dziesięciu kor-

cy pszenicy pejsasznéj, którę w moich pytlach obowiązałem się zemléć; i z warunkiem, że, jeśli na termin nie opłacę to wezmą arędę z defalką 15ₒ procentu. Podpisałem cerograf i wziąłem piéniądze. Ale żydy wypłacili mi je w rublach tak starych i tak oskrobanych, że nikt ich przyjąć niechciał, i że musiałem miéniać je na assygnaty, tracąc na każdym po trzy kopiejek srébrnych.

Układy te tak mi zawróciły głowę, iż zaledwie w dobę mógłem się upamiętać, a pokończywszy sprawunki i zaprzysiągłszy stokroć iż, póki życia, niebędę miał z Djabłami do czynienia, wyruszyłem nakoniec z Kijowa, przed samémi zapusty; obciążony sprawunkami na wyprawę, konfiturami, wyziną, kawiorem i innémi przysmaki, o które u nas trudno, a bez których się żonie pokazać niepodobna. Ale *fermoarka* dla Józi niebyło! Opoźniała się więc niemało jazda, a często noclégi i popasy przychodziło się odbywać w znanych z ochędóstwa żydowskich karczmach. Bez najmniéjszéj wygody, na wyjezdném zdarty niemiłosiernie, wyjéżdżałem z jednéj ażeby w drugiéj toż samo spotkać. Szczególniéj jeden z moich nocĺegów, przepędziłem we wsi nad wszelkie wyobrażenia zaniedbanéj. Zaczynając od grobli, leżącéj na wielkiéj drodze, upust jéj tak zawalony: że jeden bok patrzy w górę, jakby się chciał wedrzéć na firmament, drugi zaś zmierza ku antipodom. Gorzelnia murowana przez piérwszego niegdy męża właścicielki, pokryta częścią zgniłémi gonty, częścią snopami, z miętą słomą; najwięcéj zaś żeber dachu stérczało bez żadnego pokrycia.

Okna niéma ze szkłem; ze ścian cegła powyjmowana; wołownia przez wiatr posłana na ziemi; młyn na najgorszych łotokach, jak latarnia przezroczysty i cały chwiejący się; we wsi żadnego całego dachu na chatach, walących się lub włażących w ziemię, zapewne dla ukrycia swojéj nędzy przed okiem przejéżdżających. Okna albo brudnémi szmatami albo słomą pozatykane; w niektórych jedna tafelka, wielkości jabłka jest jedyném miéjscem do przepuszczenia światła. Równy stan spustoszenia i w karczmie. Kilka-

naście chłopów pijących, i bab podobna liczba: ale na żadnym ani siermięgi, ani koszuli całéj; kobiéty równie brudne, odarte. Rozumiałem iż była to wystawa włóczęg i żebraków, co, dla wzbudzenia litości, umyślnie przytrajają się w łataną odzież. — Dowiedziałem się jednak że to są włościanie, pijący snadź dla przytłumienia myśli o swojéj nędzy. Lecz choć wiele pili bardzo pijanych niebyło: gdyż arędarz, troskliwy o zdrowie publiczne, odjął gorzałce wszystkie spiritusowe cząstki, zostawiwszy tylko słaby zapach. Choć w tak nędznéj karczmie, musiałem nocować: bo o wielkę milę była następująca: Zimno: żadnego okna całego; piece pokłute. Zawołałem żyda dla dowiedzenia się, czyją téż była ta wioska? — i dowiedziałem się iż właścicielem jéj jest pan ***. Następnie, zapytałem dla czego tak spustoszona? Żyd obéjrzał się w około, jakby przy odpowiedzi niechciał miéć świadka: wzniósł ramionami i z cicha rzekł: » bo to jasny Panie niéma rządu ani porządku! Nasz Pan spuskal się na oficyalistoch, które się co miesiąc odprawlują. A do tego nasz Pan niéma szczęścia: co na wieśnie wibudowa, to przed sądny dzień kładnie się na ziemli. « — Chyba tu nie miészka, zapytałem? — » Owszém, odrzekł izraelita — w tego Pałacu, co Jaśny Pan widzi. « Wyjrzałem przez okno, obaczyłem budowlę starę, nakształt domu obywatelskiego, ogrodzoną sztachetami w pół przegniłémi, z ogródkiem najwięcéj 200 łokci kwadratowych mającym, przed którym, ciągnęła się gnojowa grobla zerwana przed kilku laty, z mostkiem chwiejącym się. — A dla czegoż ten biédny budynek nazywasz Pałacem? — » Bo każdy płaci sztrofu kto nazywa Dom nie Pałaca. Zarówna i do Pana pod sztrofem niémożna mówić tylko JW. Panie! « Przenocowałem z największą niewygodą; do tego Djabełek nawijał mi się na myśl i przerywał ciąg upragnionego spoczynku. Ruszyłem rano z dóbr tego pana; przejéżdżałem przez ulicę od mniemanego Pałacu, na któréj w gzygzakową, niby prostą liniję, postawiono przed dziesięcią laty ośm chałup; ale i ta nędzna budôwa, już zgniła i waląca się, nigdy ani zamiészkana, ani nakryta niebyła. Takaż sama nędza i na

polach. Gdzie niegdzie zasiano na zimę najgorzéj uprawną rolę, a cztéry z pięciu części odłogiem od niepamiętnych czasów w dzikości leży.. Podróż moja daléj z lepszą była wygodą. Karczmy porządniéjsze. Zbliżałem się już nawet do znacznego miasteczka, kiedy koło pękło mi w drobne kawałki. Że to był wtorek zapustny, rzemieślnicy wszyscy byli pijani i chcąc niechcąc musiałem nocować. Wieczorem zaczęło ukazywać się mnóstwo koczów, wózków na ressorach i bez ressorów, bryczek krakowskich. Pytam co to za zjazd? — Reduta! — Niémając nic lepszego do czynienia i chcąc chociażby na chwilkę uspokoić wzburzone myśli o Kijowie, Djabełka i Damie Karowéj, udałem się do sali. Proszę o bilet? — Proszę o trzy ruble! — A dla czego tak drogo? — Reduta na inwalidów! — Dałem z ochotą trzy ruble na cel tak piękny i zastałem już z sześćdziesiąt osób. Muzyka, z klasztoru, w organizacyi podobną była do dóbr P.***. Niémając znajomego, usiadłem, chcąc być tylko widzem; w tém zbliża się do mnie dwóch młodych ludzi: jeden z kasztanowatemi wąsami, drugi mały brunet, z odznaczającym się nosem; obaj grzeczni, dobrze wychowani. Zabraliśmy wkrótce znajomość. Młodzi moi towarzysze znali wszystkich i wskazywali mi osoby bardziéj uderzające w oczy. Nie opisuję męzkich ani damskich strojów: te były stosowne do koczów, wózków na ressorach i bez, oraz bryczek krakowskich. Lecz czułem zapach goździków, cynamonu a nawet szafranu. W tém kiedy rozmowa i dowcip moich nowych znajomych zaczął mnie w lepszy humor wprowadzać: buchnął, od znajdującego się tuż przy sali bufetu, dym wielkim wałem. Porwałem się z ławki; zawołałem na towarzyszów: gore! — Nie! rzecze z zimną krwią: to dym z lulek. — Niechciałem wierzyć; poszliśmy do Bufetu: tam ze dwadzieścia osób, przy szklanicach, ledwie za dymem rozpoznać można było. Zaproponowałem moim znajomym kolacyą. Przyjęli. Dano nam pieczyste z czegoś, ale tak twarde i tak czérstwe że na téj wyprawie ząb straciłem. Zbliżył się do nas jakiś Jegomość, z jakiémiś przysłowiami do każdéj rzeczy. Postawiono butelkę z najgorszém za dziesięć złotych wi-

nem. Ale nasz nowy kolega napił się wódki i nadal obrał pącz. Nazajutrz oglądałem kościoł w dobréj architekturze, z pięknémi ornamentami, które, jakem się dowiedział, dawny Przeor, kochany i szanowany powszechnie, posporządzał. Ale dziś to wszystko prochem nigdy nieobmiatanym przypadło.

Rozpatrywałem nadgrobki, które najczęściéj pycha pozostałych stawia. Jeden z nich szczególniéj mnie zajął. Jestto czarna tablica marmurowa, że złoconémi po malarsku literami, okrążona ramami równie złoconemi i uwieńczona herbowną tarczą, z napisem, który przerysowałem sobie ołówkiem i który z właściwą mu pisownią załączam:

Żoną twe cnoty pewno umieściły (cie w niebie
Ach jakże mnie Bidnemu tęskną żyć (bez ciebie!

Jaśnie Wielmożnéj NN. która, żyjąc lat 19 R. 183' d. ' Kwietnia zeszła.

Co do wiérszów, niechcę być recenzentem; lecz mniemam że ten świéży płód Poezyi zasłużył aby go nieutrzymać w ciasnym obrębie parafialnego kościoła. Czy niémożnaby umieścić go w Zniczu, lub w innym jakim noworoczniku, przynajmniéj dla zadosyć uczynienia cieniom nieśmiertelnego autora Wojska nowo-zarekrutowanych Affektów?—Lecz pytałem moich towarzyszy: dla czego nadano jéj tytuł Jaśnie Wielmożnéj, i objaśniono mi że na ostatnich wyborach mąż *magno Motû* został Deputatem cerkiewnym i że teraz będzie już miał prawo wotować! Nauczyłem się więc łatwego sposobu dostania prerogatywy do wotowania i tytułu Jaśnie Wielmożności! —

Opuściłem tegoż dnia miasteczko. Co się stanie z rachunkami przed żoną i z wypłatą lichwiarzów, nie wiém!

WYRACHOWANIE KOSZTÓW WOJENNYCH ANGLII OD ROKU 1697—1815.

Jeden z dziénników ministeryalnych angielskich wykrywając straty na jakie każdy kraj przez prowadzenie wojny jest narażony podaje za przykład samę Anglią, wypisując jak następuje:

1) Wojna ukończona roku **1697**, kosztowała **21,500,000** funtów szterlingów. W zabitych stracono **100,000** ludzi. Umarłych z głodu **80,000.**

2) Wojna zaczęta roku 1702... kosztowała 43,000,000 fun. szter. w zabitych 250,000.
3) Wojna zaczęta roku 1739... kosztowała 48,000,000 fun. szter. w zabitych 240,000.
4) Wojna zaczęta roku 1756, kosztowała 111,000,000 fun. szter. w zabitych 250,000.
5) Wojna Amerykańska r. 1775, kosztowała 139,000,000 fun. szter. w zabitych 200,000.
6) Wojna z Francyą roku 1793, kosztowała 1,100,000,000 f. szter. w zabitych 200,000.

Dług Anglii w końcu téj wojny roku 1815, dochodził do biliona pięćdziesiąt milionów funtów szterlingów. (*Funt szterling znaczy* 40ści *złotych polskich*).

ZŁODZIÉJ
PRZYJACIELSKI.

Od niejakiego czasu pomnaża się kradzież w Paryżu w nadzwyczajnym sposobie. Dnia 13 stycznia zaledwo jeden lékarz tameczny wyszedł z swego pomiészkania, już jakiś porządnie ubrany męžczyzna, ozdobiony czerwoną wstęgą u guzika, zapukał do drzwi. Gdy mu służący powiedział, że doktor wyszedł z domu i przed wieczorem podobno niepowróci, nieznajomy udał się prosto do gabinetu lékarza, i usiadłszy przy jego stoliku, wziął pióro i zaczął pisać. W tym samym czasie zadzwonił ktoś powtórnie, a służący wyszedł za drzwi na chwilę. Gdy wrócił do pokoju, nieznajomy oddawszy list zapieczętowany, oddalił się z pośpiéchem. Doktor rozpieczętowawszy za swém przyjściem bilecik, czytał co następuje: »Nie szukaj waćpan zégarka, któryś dziś na kominku zostawił, gdyż téj chwili jest on w mojéj kieszeni, którą waćpan nie tak łatwo znajdziesz. Służący waćpana niejest złodziejem, ale wielkim gapiem, ponieważ dozwolił, że waćpana w jego niebytności okradziono. Zalecam waćpanu usilnie, ażebyś go odprawił, i spodziéwam się, że tę przyjacielską radę przyjmiesz jako wynagrodzenie za darunek, który sobie jego kosztem przywłaszczyłem. Najniższy sługa waćpana (podpisano) Capdeville, złodziéj.«

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.